Rok 1894. We Lwowie Poniedziałek dnia 3. Września Nr. 32.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO"

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

Nocturn.

Stanąłem u okna
O późnej godzinie:
Chmur ciemych powłoka
Nad miastem w dal płynie;

Noc chłodna, posępna
Jesienią oddycha,
Wśród liści spłowiałych
Już szumi wiatr z cicha.

Gwiazd roje gdzieś we mgłach
Pogasły nademną,
W okienku z przeciwka
Oddawna już ciemno.

I żal mi tych gwiazdek
W jesiennej pomroce
I światła z okienka,
Co jasno migoce.

Wiem jednak za chmurą
Lśnią gwiazdy w przeroczy,
Za oknem sen skleił
Znajome mi oczy.

Lecz chociaż w mgłach gwiazdy
Przez jesień zostaną,
Oczęta z przeciwka
Zobaczę już rano.

Lourdes Zoli.

W „Słowie" warszawskim znajdujemy następującą jednostronną może, lecz w każdym razie uwagi godną pracę *K. Przezdzieckiego.*

Nie jest rzeczą nową dla doświadczonego czytelnika, jak francuscy autorzy ich wydawcy zręcznie reklamować umieją najnowsze utwory literackie. Nawet najbardziej renomowani pisarze uważają, iż nie zależnie od ich sławy, reklama, trącąca nieraz kuglarstwem, domaga do poczytności i o co bardziej jeszcze chodzi — do pokupności najświeższego romansu. Na bębnie takiej jarmarcznej reklamy znakomicie grać umie Zola a w dziełach swych posługuje się on najwstrętniejszymi sposobami dla zainteresowania publiczności czytającej i przysporzęnia sobie ogromnych dochodów. Nie wystarcza mu ku temu rzeczywisty, acz w nie bardzo smacznym kierunku spożytkowany dar obserwacji i uzmysłowienia swych spostrzeżeń; każda z powieści jego opieprzona jest dodatkowo opisami jaskrawemi najwstrętniejszych scen zmysłowości umieszczonych w systematycznie obmyślanych odstępach, tak, aby czytelnik upewniony był, że pewna liczba scen drastycznych podtrzyma niezdrowa jego ciekawość aż do końcu każdego tomu.

Ostatnie dzieło Zoli p. t. „Lourdes" większą jeszcze, niż inne powieści tego autora, poprzedzone reklamą, nietylko w niczem nie zmienia smutnej opinji, jakiej używał Zola u ludzi zapatrujących się poważnie na wpływ literatury na społeczeństwo, ale i w dodatku boleśnie dotyka ich sumienie. Dotychczas Zola zajmował się starannie, prawie wyłącznie, psychologją (!) zmysłowości i jak prawie wszyscy jego koledzy po piórze we Francji, chuć zmysłową w różnych jej postaciach przedstawiał jako jedyny i uprawniony motor życia ludzkiego. W „Lourdes" Zola zmienił front, ale nie w tem znaczeniu, aby poglądy jego w czem kolwiek się zmieniły: tylko nową bronią rzuca się na swego przeciwnika, dla którego żywi niewyczerpaną nienawiść — a przeciwnikiem tym — chrześcijańskie społeczeństwo. W poprzednich powieściach zbeszczeszczał stronę zewnętrzną ludzkości, uwydatniając najjaskrawiej to, co ona może mieć wspólnego ze zwierzęciem; w „Lourdes", zrzucając dość przeźroczystą, co prawda, maskę hypokryzji, pod zasłoną której pisząc „Le Reve." próbował wkupić się do Akademji, usiłuje zabić w czytelniku wszelką wiarę w duszę ludzką i jej nieśmiertelność. Nie odbyło się jednak bez pewnej hypokryzji w samej reklamie; chociaż w tym razie raczej fortelem nazwać dziś można różne wiadomości, z umysłu dwuznaczne. które rozpuszczono o rzekomem nawróceniu się Zoli, a przynajmniej o przejęciu się jego uczuciem sympatji dla gorących objawów silnej wiary, których był świadkiem w miejscu, gdzie tysiące ludzi korzy się w modlitwie i tysiące łąsk doznaje.

Takim to sposobem autor i wydawca zapewnili sobie zaciekawienie i pokup u całkiem nowej kategorji czytelników, którzy spodziewali się dzieła, jeżeli nie ogrzanego pewnem ciepłem religji, to przynajmniej bezstronnego i opartego na czystej obserwacji, bez przesądu i bez uporu. Tymczasem „Lourdes" od pierwszej aż do ostatniej karty jest dziełem wolterjańskiej nienawiści, połączonej z renanowskim rozkładowym czynnikiem niewiary. Cały plan dzieła i przeprowadzenie wątka obserwacji, analizy i pesymistycznego rozwiązania są iście szatańskie. Fabuły nie ma: to nie romans ale opowiadanie, a raczej dziennik kilkudniowej pielgrzymki, zaczęty w chwili wyjazdu pociągu, wiozącego z Paryża partję chorych pątników a kończący się na opisie powrotu tychże do Paryża. Jadą chorzy (opisy chorych istnie Zolowskie) pełni zau-

fania i nadziei, powracają zaś nie w komplecie, bo wielu w Lourdes poumierało; drudzy na wpół uzdrowieni, przez imaginację, nie dojechawszy do Paryża, uczuwają już syptomaty odnawiających się zabójczych chorób. Swoją drogą, siostry miłosierdzia i inne nabożne przewodniczki podtrzymują sztucznie ducha i śpiewają dziękczyne hymny za otrzymane niby łaski, Jedna tylko młoda osoba powraca niby rzeczywiście uzdrowioną. Ale uzdrowienie to było matematycznie przepowiedziane przez młodego lekarza ateusza, który sam chorą panienkę wysłał do Lourdes, wiedząc, że zbawienne przesilenie najwłaściwiej pod wrażeniem tego miejsca nastąpi.

Dziennik ten nie jest wprawdzie pisany ręką głównego świadka całej pielgrzymki, ale niemniej jest odbiciem wyłącznem jego wrażeń. A kogóż zrobił Zola w swej sekwerciarskiej podstępności owym niewierzącym, krytycznym i rozgoryczonym świadkiem? Oto — młodego księdza! Młodzieniec uczciwy, wychowany religijnie przez matkę, wstąpił do seminarjum i byłby do dziś dnia uczonym i świątobliwym duchownym, gdyby podczas rekonwalescencji po ciężkiej chorobie nie były mu wpadły w ręce autentyczne (?) dokumenty, zbierane niegdyś przez jego ojca dla krytycznego zbadania objawień Bernadetty i cudowności groty w Lourdes.

Od tej chwili otworzyły się księdzu Piotrowi oczy i siła rozsądku („la raison") tak przemogła w nim po nad wszystkimi uczuciami i wrażeniami edukacji chrześcijańskiej, że przez cały czas opowiadnia Zoli o pielgrzymce rozsądek tego księdza wszystko po drodze neguje, wszystko zabija, co jest święte. Przez jakąś dziwną a złośliwą antytezę ksiądz Piotr rozczula się nad losem Bernadetty i dziwi się, że nie dla niej stawiają kaplicę i nie jej cześć oddają — jej która rzeczywiście istniała i dzięki której rozsławiona iluzja napędza wciąż do Lourdes tyle gości i tyle pieniędzy.

Streszczać samej tej powieści nie możemy, albowiem jest ona od pierwszego słowa do ostatniego prokuratorskim aktem oskarżenia przeciwko wierze w ogóle i tak zwanej przez autora „Boskiej iluzji". Cytowanie zaś dla przykładu bluźnierczych ustępów wstrętnom jest dla pióra i stałoby się poniekąd wspólnictwem kryminalnem z utworem pamfletu. Pomimo woli jednak, przemaga konieczność uzasadnienia naszych zarzutów; ale wystarczy na to krótkie przytoczenie niektórych rozumowań i wrażeń owego bohatera zdrowego rozsądku, jakim jest ksiądz Piotr, pragnący, wierzyć, ale pomimo najlepszej woli nie mogący ukorzyć się przed rzekomym fałszem i iluzjami chrześciańskiej wiary.

W ciągu opowiadania opisał Zola postacie kilku wierzących, ale to są ludzie potroszku idyoci z urodzenia, albo rozmiękczeni na starość. Zresztą rzuca się na wszystkich, kąsa w prawo i w lewo. Bohaterem dla niego jest ten, kto umierając, wierzy w absolutną nicość pośmiertną i odrzuca z oburzeniem wszelką interwencję religji. Pewien jegomość zatwardziały niedowiarek, kona, rażony apopleksją; pewien gorliwy ksiądz próbuje ratować go wodą z błogosławionej groty i gorącymi słowemi przemawia do konającego, lecz w braku mowy, którą mu paraliż odjął, oczy konającego przemawiają (!): „Podli jesteście wy, co z tak daleka przyczołgaliście się, aby błagać o miesiąc, o rok, o kilka lat żywota. Źleżby wam było umrzeć spokojnie w łóżku, odwróciwszy się twarzą do ściany? Ja nie chcę tej świętej wody, bo któż wie, jakie mogą być tajemnice natury? A nuż odżyję przypadkiem? Więc musiałbym znów lat kilka żyć tem nędznem życiem i drugi raz umierać. jak „Łazarz, którego Chrystus ożywił bez jego woli" i skazał na drugie życie i umieranie.

Podczas podróży bohater opowiadania, ów młody ksiądz cnotliwy i honorowy, choć w nic już nie wierzący, proszony jest przez pielgrzymów o czytanie głośno książki, zawierający żywot Barnadetty. Ale ów honorowy (?) ksiądz nie może przemódz się, aby czytać sumiennie „płytką", na wierze opartą bibljografię; więc trzyma tylko broszurę w ręku i sam improwizuje, nadając całej opowieści ton pesymizmu, zwątpienia, niewiary i przeplatając opowiadanie autentyczne własnemi bezbożnemi wrażeniami i rozumowaniami.

W jaki sposób Zola przez usta księdza wyraża się o dziewictwie, wstręt powtarzać: jest w tem bluźnierstwo, zwierzęcość i rozumie się ani chrzty, choćby czysto ludzkiej filozofii. „Lourdes — myśli ksiądz Piotr, jest miejscem kłamstw i spekulacji, religijność podług niego, rozmiękcza, upadla i oddaje pobożnych na pastwę silniejszemu, trzebaby mieć odwagę pozamykać, choćby za pomocą gwałtu, wszystkie tego rodzaju cudowne miejsca, a tym sposobem zmusić ludzi do działania, zamiast szlochania i tym podobne.

Tego rodzaju poglądy coraz bardziej rozjaśniały umysł młodego księdza wielką promiennością rozsądku. Tymczasem Zola, wraz ze swym bohaterem, wpadają przy świetle tego rozsądku w coraz większe niedorzeczności i niekonsekwencje. Jego bohater uznaje w końcu, że słabość i głupota ludzkości i jej niefortunność wymagają jakieś „policji moralnej", więc — jakiejś religji. Ale iluzja katolicyzmu zużyła się (?) Trzeba koniecznie czegoś innego (?) Nabożeństwo z Lourdes jest próbowanie tego czegoś innego (?!) A może i anarchja jest także taką próbą (sic) I anarchiści i pielgrzymi z Lourdes tak samo domagają się równego podziału szczęścia ziemskiego. Pierwsi męczenicy chrześcijańscy byli w swojem czasie także anarhcistami (czy oni używali środków gwałtownych i zabójczych?) — „Nowej religji, nowej religji!" — taki jest ostatni wykrzyknik księdza Piotra. A biedna Bernadetta, męczenniczka widzenia, zmarła upodlona w swej czci (mówi ksiądz Piotr), jako dziewica pozbawiona małżeństwa — „za to tylko ujrzała Najświętszą Pannę" — i to jest słowo niecnej książki, a po niem wydrukowano: Fin.

„Lourdes" nie jest napisane wyłącznie przeciwko Lourdes, ale wprost przeciwko Bogu.

Mamy niepłonną nadzieję, że w żadnym katolickim domu bluźnierczy utwór ten nie znajdzie się nawet pod pozorem ciekawości. Powtarzamy fabuły w powieści p. t. „Lourdes" nie ma żadnej; romansu nie ma, a nawet epizodów jaskrawo zmysłowych również nie ma, tak że całość przddstawia się jako rzecz niesłychanie nudna i w czytaniu nużąca.

Jednej rzeczy Zola dotknąć nie śmiał sarkazmem, gdyż całe bez wyjątku społeczeństwo francuskie nie byłoby tego zniosło, tj. Sióstr Miłosierdzia; o nich zawsze wyraża się z szacunkiem, a nawet z pewnem rozrzewnieniem. Reszta, tj. wszystko — bluźnierstwa.

Ktoś zapytał Pasteura, kiedy nareszcie odda głos swój na Zolę przy wyborach do Akademji francuskiej.

„Quand il cessera d'ecrire des cocheneries" — odpowiedział dobitnie znakomity uczony. Przekonani jesteśmy, iż dzieło o Lourdes nie zmieni w niczem zapytrywania Pasteura, który znany jest z poszanowania dla religji.

Z życia londyjskiego.

Wczoraj wieczorem — opowiadał pułkownik Mekilop — qyłem na meetingu politycznym chciałem bowiem przekonać się, jak londyńczycy znajdują się w takich okazjach. Słyszałem jakiegoś jegomościa, które w swej mowie na Anglji wogole, a na je armji w szczególności nie pozostawił suchaj nitki. Był on zdania, iż Anglicy wchodzą zawsze w nieporozumienie z obmi narodowościami i z tego tytułu powinni być zewsząd wygnani, a żołnierze angielscy bardzo mężni, gdy w południowej Afryce lub w innych cześciach świata biją dzikich, są zwykłymi parobkami ze szlachtuzów, przynoszących wstyd swej ojczyźnie. Ja nia jestem anglikiem i możecie powiedzieć, że rzecz cała obchodzić mnie nie powinna, mimo to czułem się dotknięty i mówiłem sobie w duchu, iż wolałbym wszystkie rodzaje przechwałek amerykanina od tej potrawy, który ów jegomość częstował swych słuchaczów.

Niedługo bawiłem na meetingu i wychodząc rzekłem do człowieka, stojącego przy drzwiach:

— Jestem amerykaninem i nigdy nie mogłem wytrzymać, gdy inny amerykanin przechwalał się przedemną, ale od tej pory nie chcę słuchać naigrawań, których pierwszy lepszy pozwala sobie na rachunek własnego kraju.

Człowiek, stojący przy drzwiach, nie odpowiedział nic, ale inny młody człowiek podbiegł ku mnie i zawołał:

— Czy nie pan Wilson z Chicago?

Trochę wzburzony, nie zrozumiałem w pierwszej chwili, o co temu panu chodziło,

— Nie panie — odrzekłem. — Jestem pułkownikiem Mekillop z Louisville, Kentucky.

Młody człowiek przeprosił mnie i oddalił się, a ja wracałem do hotelu. Na jednej z pobliskich ulic znów jakiś jegomość zaczepił mnie, wołając:

— Pułkownik Mekillop! Któżby się tego spodziewał, iż tu pana spotkam! Jak się panu powodzi? Jak się mają pańscy przyjaciele w Louisville?

To nie były żarty! Nie spodziewałem się, iż na stare moje lata, ktoś zechce mnie brać na taki prosty sposób. Tego wieczoru miałem trochę czasu, udałem więc, że nie domyślam się niczego i czekałem, co będzie dalej.

— Pańska twarz jest mi gdzieś znana — rzekłem, wyciągając rękę do młodego człowieka — lecz nie mogę sobie przypomnieć nazwiska..

— Jestem Harry Sharpe, syn dyrektora banku Sharpego. Spotkałęm się z panem zeszłego lata w Louisville i jestem szczęśliwy, że pana znów widzę...

— Ach teraz przypominam sobie — odpowiedziałem.

Nawiasem mówiąc, mój znajomy zdziwiłby się pewnie, gdybym mu powiedział, iż od lat sześciu podróżuję i przez cały ten czas noga moja nie postała w Louisville.

— Chodź pan ze mną — rzekłem, ujmując go pod rękę — wypijemy co i pogadamy trochę. W Londynie czuję się osamotniony i przyjemnie mi spotkać znajomą twarz i do tego twarz ziomka.

Jegomość zaczął udawać bardzo wesołego, gdyż zdawało mu się pewnie, iż mnie już złapał w swe sieci.

Szliśmy tedy po przyjacielsku de Grand Hotelu i po drodze rozmawiali o mnóstwie mieszkańców z Louisville, których wynalalazłem specjalnie dla mego znajomego. Sharpe znał ich wszystkich, a nawet nie dostrzegł nic podejrzanego w mej geografii, gdym mu wspomniał, iż z jego ojcem spacerowaliśmy po południu do Mobile tam i na powrót, checiaż Mobile oddalone jest od Louisville z górą o tysią mil.

Gdy weszliśmy do wielkiej sali restauracyjnej Grand-Hotelu, wybrałem stół w pobliżu towarzystwa mężczyzn, zajętych pomiędzy sobą ożywioną rozmową. Obstalowałem whisky i zwróciłem się do wspomnień.

— Tak, tak — mówiłem mówiłem głośno żeby przy sąsiednim stole słyszeć mnie mogli — Twój biedny ojciec i ja byliśmy przez długi czas przyjaciółmi i sąsiadami. Jego śmierć głęboko mnie wzruszyła.

— Biedny stary — ozwał się Sharpe, trąc silnie oczy, ażeby z nich łzy wydobyć. — Zawsze był dla mnie dobrym ojcem,

— Ja jeszcze dziś jestem tego zdania — ciągnąłem dalej — że pospieszano się zbytecznie z powieszeniem Wypadek ten dowodzi, iż chociaż akcjonarjusze złapią i powieszą swego dyrektora, nieza duie odzyskają pieniądze.

Towarzystwo przy stole sąsiednim zaczęło się przesłuchiwać. Sharpa poruszył się niespo-

kojnie na stołku i w tej chwili właśnie wszedł ów drugi jegomość, który na meetingu nazwał mnie Wilsonem, żeby dowiedzieć się o mojem nazwisku prawdziwem. Byłem pewny, że nadejdzie i że jest serdecznym przyjacielem Sharpa. Ten ostatni zerwał się z miejsca na jego widok i przedstawił jako swego przyjaciela, kapitana gwarji, Courtenay. Zamieniliśmy serdeczny uścisk i powiedziałem kapitanowi, iż bardzo cieszę się z nowej znajomości. Zasiedliśmy we trzech znów obstalowałem whisky. Wiecie, iż nie jestem nałogowym pijakiem, ale niedarmo urodziłem się i wychowałem w Kentucky. Whisky wywiera na mnie taki wpływ, jak czysta woda. Zacząłem jednak udawać iż pierwsze szkalanki zawróciły mi głowę i stałem się bardzo gadatliwym i skorym do wynurzeń.

Zapytałem Courteneya w którym jest pułku odrzekł, iż w grenadjerach gwardji. Zapewniłem go, iż dla armji angielskiej żywię wielki szacunek i pytałem, czy był w jakiej bitwie. Conrteney oświadczył, iż odbył kampanię egipską, przy Tel-el-Kebir został ranny kulą w nogę i otrzymał krzyż Wiktorji.

— Mam przy sobie wypadkowo spisy armji, zawołałem — i pragnę zrobić sobie przyjemność i wyszukać pańskie nazwisko.

Zacząłem szukać po kieszeniach, a Courteney tymczasem czerwienił i bladł na przemiany.

— Oh, pan mego nazwiska nie znajdzie w spisach — zawołał. — Otrzymałem nominację dopiero tydzień temu, już po ogłoszeniu spisów tegorocznych.

— Jednak wspominałeś pan, że biłeś się pod Tel-el Kebir?

— Naturalnie — odparł — ale byłem tam w charakterze korespondenta. Lord Wolseley był tak uradowany tem, że wziąłem bezpośredni udział w walce, iż obdarzył mnie później patentem oficerskim.

Goście przy sąsiednim stole zaczęli się nam przysłuchiwać bez ceremonji, gdyż ile razy Sharpe lub Conrteney powiedzieli coś cicho, ja powtarzałem głośno. Moi przyjaciele byliby wycowali się z przyjemnością, lecz ponieważ podejrzywali, iż przynajmniej w połowie odgadłem szwindel, bali się doprowadzić mię do ostateczności.

Co się stało z pańską siostrą? — zapytała Sharpea. — Ładna była dziewczyna.

— Bardzo dobrze się powodzi, wyszła za mąż i mieszka w Chicago.

— Przedsiębiorcza kobieta zawołałem — Teraz pewnie już po raz czwarty wyszła za maż Zawsze ją lubiłem i ujmowałem się za nią. Widzę ją dziś jeszcze jak siędziała na ławie oskarżonych w sprawie o otrucie drugiego męża... A może to był trzeci? Pańska siostra była za ładną, żeby sąd przysięgłych w Kentucky mógł znaleść się tak niegrzecznie i skazać ją!

— Ja myślę pułkowniku — rzekł Sharpe, że lepiej będzie, gdy pójdziemy...

— Dlaczego mamy się spieszyć? — pytałem. — Jeszcze nie opowiedzieliście mi, jakim sposobem przyjechaliście do Lonniynu... Zaraz... niech no sobie przypomnę... Pan byłeś kasjerem u Harkinsa, gdym cię widział po raz ostatni... Nieprawdaż?

— Istotnie...

— Aha. . teraz przypominam sobie, miałeś nieporozumienie z powodu kasy i uciekłeś później do Anglji. Na twojem miejscu wolałbym Hiszpanię, zkąd nie tak łatwo wydają ludzi skompromitowanych.

— Wybacz pułkowniku przerwał Sharpe, zaperzony jak indyk — nie uciekłem, lecz przyjechałem jako agent Harkinsa. Robimy tu duże interesy.

— Cieszy mnie to bardzo odrzekłem. — A teraz muszę was zaprowadzić, gdziebyśmy mogli zagrać w bilard. Już ze trzy lata nie grałem. Pojedziemy sobie do Tinglu-Tanglu, ażeby się dobrze zabawić. Czy podoba się wam moja propozycja?

— Właśnie chcieliśmy zrobić panu tęsamą propozycję rzekł Sharpe.

— Zaczekajcie? — zawołałem, jabym sobie coś przypomniał. — Nie mam przy sobie jednego dolara pieniądzmi angielskimi. Miałem zamiar zmienić dziś papirek pięćdziesięcio dolarowy i zupełnie zapomniałem o tem. Może mi panowie zmienicie. Jest wart dziesięć funtów szterlingów odstępuję go za dziewięć.

Sharpe i Courteney zebrali z wielkim trudem dziewięć funtów, zsypując razem drobne srebro ze wszystkich kieszeni, a ja wręczyłem im papierek. Był to banknot wydany przez stany skonfederowane w czasie wojny secesyjnej niewart dziś ani grosza. Dostałem go gdym siedział w więzieniu w Richemondzie i zachowałem na pamiątkę. Zapłaciłem za whisky i wyszedłem niepewnym krokiem. Portjer, który mnie znał, szepnął mi do ucha, bym się miał na ostrożności. Mrugnąłem na niego i odrzekłem

— Tobie się zdaje zapewne, żem się urodził wczoraj dopiero.

Zawołałem cab i gdyśmy wsiedli, rozkazałem woźnicy, by jechał do najbliższego biura policyjnego. Zapamiętałem numer domu, w którym mieściło się biuro, i nie mówiąc, gdzie mamy jechać, tylko ów numer powiedziałem strangretowi.

Gdy powóz zatrzymał się przed stacją policyjną, rzekłem do moich towarzyszów:

— Zaczekajcie chwilkę w tej chwili wrócę.

Nie zdążyłem jeszcze drzwi ostorzyć, gdy usłyszałem że cab szybko odjechał. Moi przyjaciele ujrzawszy czerwone latarnie stacji policyjnej, jak się zresztą spodziewałem, doszli do przekonania, iż pora umykać.

Wracałem tedy spokojnie do hotelu z dziewięcioma funtami w kieszeni i z przeświadczeniem, iż w Londynie jest więcej o dwóch ludzi którzy na przyszłość zastanowią się lepiej, ile razy zechcą amerykanina wykierować na dudka.